NUMER 33. DNIA 16-go SIERPNIA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(7)

Szli obok siebie chwil kilka, bladzi od gniewu, nie patrząc na siebie. Wreszcie Karski opamiętał się, stanął przed towarzyszem i ręce mu na ramionach położył.

— Kłócimy się... a przecież... przecież... za chwil kilka rozstaniemy się... może na wieki!..

Łzy zamgliły żrenice obu.

— Widzisz, gdybym tak, jak ty, rozumował, nigdybym stąd... nie wyjechał!.. — szepnął Karski. Czasem masz rację, a czasem jej nie masz... Pewność siebie jest wielką zaletą, ale... nie zawsze można walić obuchem... Cierpię, Leonie, nie uwierzysz jak cierpię!.. — dodał ciszej — gdyż pojmuję, że początek takich rozumowań, to początek słabości, ale pomyśl, coby się stało, gdyby wybuchła awantura. Przypisanoby ją nam... Zatrzymanoby mię, a dla mnie zostać tu, znaczy to samo, co skazać na śmierć... moją żonę. W dodatku, myślę, że byłaby to zupełnie nieużyteczna ofiara. Niktby w tym wypadku nie wygrał. Nawet ty, pewny jestem, nie tak przecie pojmujesz poprawę stosunków! Więc po co?..

— Dosyć, już dosyć! Nigdy nie wybrniemy z tego labiryntu!.. — przerwał Leon z resztką niechęci. — Skuci ludzie zawsze się szarpią za łańcuch.

Spojrzeli sobie w oczy i uścisnęli się długo i mocno.

IV.

Wiosłując, ominęli cypel piaskowy, po czem oryle wyskoczyli na brzeg. Koźma rzucił im duży zwitek sznura. Guran stanął u steru. Holownicy trochę pijani i rozmarzeni uszykowali się długim szeregiem wzdłuż wody. Koźma w małem czółenku krążył między łodzią a brzegiem. Kupcy wylegli na brzeg z butelkami i kieliszkami w ręku. Spirydion, trzymając drążek mierniczy siadł na samym końcu na sztabie jak na koniu.

— Hej! Ruszaj! Z Bogiem! W imię Ojca i Syna.....

Holownicy pochylili się, sznury napięły, łódź zakołysała i pomknęła przeciw prądowi, odkładając sztabą w obie strony na wodzie dwa srebrne wąsy bruzd. Z tyłu zagłębiły się zmącone odmęty, a odbite obrazy miasta, brzegów i gór zatańczyły na nich fantastycznie.

Karski z żoną wyjrzeli ze swej budy po raz ostatni na zachodzące za łoziny miasto. Zielona, kędzierzawa gęstwina chłonęła jeden za drugim wesołe domy z roziskrzonemi w blasku słońca oknami, ulice, kopulaste cerkwie, statki i ludzi na brzegu. Gwar miejski dobiegał coraz niewyraźniej, mieszał się ze szmerem rzeki, z pluskiem fal bijących o brzeg holowanej łodzi i ginął zwolna pokonany.

Leon i Makary stali na wysokim sągu drzewa, machali czapkami. Pani Anna z dzieckiem na

ręku odpowiadała im, powiewając chusteczką mokrą od łez.

— Boże, Boże! Jacyż oni biedni!... biedni!... — szeptała do męża.

Oj! *Jekuckie zacne miasto.*
Ma dziewki lipkie jak ciasto!.

z humorem zanucił jeden z kupców na przedzie łodzi.

Oj, dębino! huknijmy wraz;
Oj, zielona, sama idzie!
Szarpnij-my... szarpnij-my!...
Huknij-myyy...
Och!

chórem odpowiedzieli holownicy.

Chłopów tęgich, zawsze pijanych
Nieumytych, nieczesanych...

szydził dalej kupiec.

Oj, dębino, huknijmy wraz!
Oj, zielona, sama idzie...

odpowiadał chór.

Nakoniec znikł i biały klasztor na końcu miasta. Zpoza czubów wikliny wyglądały czas jakiś wierzchołki okolicznych gór, wreszcie i one zapadły za nie, a przed nimi, za nimi i wszędzie pozostała tylko srebrna rzeka, obrzeżona złotymi piaskami i bladą zielenią.

— Hej! Pilnuj!.. Zczyszczaj!.. Miotaj!.. Lekciej! — grzmiał co chwila Guran od rudla.

Jeden z holowników podbiegał naówczas do tłukącego się po brzegach i wodzie sznura, spychał go z gałęzi kijem lub oswobodzał od zadzierzystych, ukrytych pod wodą „wilków“.

— Pięć, trzy, dwa i pół... pięć... — wykrzykiwał monotonnie Spirydyon, zanurzając w nurt miarę.

Koźma na czółenku wyprzedzał szkutę i drogę badał.

Damiana nie było.

Zgięci w pałąk, z liną na ramieniu holownicy ciężko brnęli przez piachy, podśpiewując i pokrzykując na przemian. Skoro jednak łódź zawróciła wąskim kanałem w labirynt wiklinowych „pławni“, piosenka umilkła. Znikły piaszczyste, dogodne nabrzeża: trzeba było przedzierać się przez środek zarośli, gdzie ludzie, związani sznurem, plątali się wciąż, jak w sieci.

Szkuta posuwała się wolno krętemi, jak strumienie, łachami o brzegach niewyraźnych, niskopłaskich, zalanych, gdzie wiklina wyrastała często wprost z wody, jak trzcina, gdzie nurt rwał przez zarośla z łoskotem, jak na skałach i kołysał krzewami, jak wicher. Musieli wciąż buchtować, oryle zwijali sznury, siadali do łodzi, chwytali za wiosła lub wlekli statek z trudnością, czepiając się giętkich, wężowatych wici nadbrzeżnych. Najwięcej napracował się Koźma, przewożąc ludzi i sznury z kępy na kępę, badając drogę lub odczepiając wciąż plączące się w gałęziach cumy. Czółenko jego krążyło bezustannie dokoła statku, jak mała, stroskana kaczuszka dokoła wielkiej matki, która zaniemogła.

— Koźma!. Ej Koźma!.. Brodaczu!.. Czas by zatrzymać się! — wołali nań i kupcy i oryle, lecz Koźma milczał i wciąż płynął dalej...

Wreszcie słońce zapadło za wikliny. Mrok mglisty i chłodny napełnił wązkie łachy, poczernił wodę.

— Dość! Nie pojedziemy dalej!.. — rzekli holownicy.

— Jeszcze trochę!.. Cóż tu.. tutaj nic nie ma... tu błoto.., tu i pohulać nie będzie gdzie... Dowleczcie się choć do tamtej kępy... Tam sucho, tam Diaman kazał czekać! Tutaj on nas nie znajdzie! A bez niego nic nie będzie — nie ma wódki! — przemówił wreszcie Koźma.

Oryle niechętnie poszli we wskazanym kierunku.

Wybrana wysepka przedstawiała wydmę piaszczystą, okoloną, niby zakonniczą tonsurą, wiankiem zarośli. Leżała na samym skraju „pławi“, a poza nią głucho szumiała już macierz rzeki, otwartej tu aż po przeciwny brzeg wysoki i lesisty. Chłód, mgła i wiatr szły stamtąd i mąciły cieplejsze, stęchłe powietrze zamulonych łach i krzewiastych ostrowi.

Karski wyszedł na brzeg i z czuba pagórka spojrzał ku miastu. Znajdowało się bliżej, niż przypuszczał. Złocone kopuły jeszcze się lśniły w blaskach zorzy. Dymy wieczorne snuły się z kominów i, mieszając z mgłą rzeczną, kładły liljowe cienie na dalekie góry, na niebo z blademi gwiazdami, podarte na zachodnim skraju w długie wstęgi purpurowe i seledynowe. Między miastem i wyspą legły kobiercem gęste, równe i splątane, jak sierść niedźwiedzia, zarośla wiklinowe. Karski przyglądał się dobrze znanej okolicy, szukał wśród odległych urwisk białego szlaku drogi, po której zwykł był w ciągu lat tylu spuszczać się z płaskowyżyny do miasta; przypomniał sobie rozmaite wypadki z tych po-

dróży, towarzysza zabitego na tej drodze przez niewiadomych złoczyńców, napad na siebie, z którego cudem wyszedł cało; dalej swoją zagrodę, pracę w polu, dni i miesiące pełne tęsknoty, chorobę Anny, z której dźwignęła ją jedynie nadzieja powrotu, wreszcie miłe, dobre twarze towarzyszów, żyjących samotnie w nieprzejrzanych borach. Westchnął i spojrzał na przytuloną do brzegu szkutę. Anna z owiniętym w chustkę Olesiem szła ku niemu. Wziął dziecko z jej rąk, a ona oparła głowę na jego ramieniu i biegła wzrokiem w tę samą stronę, gdzie niedawno on błądził myślami.

— Kochany! Przecież i tam były chwile, żeśmy czuli się szczęśliwi!..

— Wróciłabyś?...

-- Nie, za nic!

— Co nas czeka? Przyjedziemy bez grosza... Trudno będzie o zajęcie, zapomniałem pracować w sposób cywilizowany. (C. d. n.)

Z DRÓG

Dziad.

Idzie jako pokutnik, kosztur dzierży w dłoni,
przez ramię zwiesił torbę skąpą, jałmużniczą;
stargane siwe włosy spływają ze skroni,
skwar letni, chłody zimy kroki jego liczą...

Idzie... Na zgiętych barkach dźwiga lat swych [brzemię,
zapadłą piersią nuci smętną pieśń żebraczą;
w zgasłych oczach żal gorzki, przytłumiony drzemie,
bose stopy ślad krwawy w pyle drogi znaczą...

Idzie jako pokutnik... Za co los go karze?
za jakie winy?!.. Kiedy pokutę odprawi,
gdzie jest cel jego drogi, czy ciche cmentarze,

czy tylko śmierć na ziemi od nędzy go zbawi?
Za co cierpi ten starzec? Boże, Boże! za co?
czy, że życie swe całe grzeszył ciężką pracą!

W świat.

Hej, za ciasne już orlęciu szranki starych gniazd,
w młodych skrzydłach moc poczuło, serce w świat [się rwie!
Bujną wiosnę ciężko przeżyć w słodkim wioski [śnie,
kędy w duszy wzrosnąć może dawnych przywar [chwast...

Hej, z szerokiej drogi powiał szumny pragnień [wiew,
nęci, wabi żywe serce tajemnicza dal!..
Piersią porze czysty błękit napowietrznych fal,
w świście wichru słyszy nowy, czarujący śpiew,

bystrem okiem widzi plenność wolnych, żyznych [niw,
podobłocznych gór wyżyny, głębie wielkich mórz,
czuje oddech wyzwolonych, z pęt rozkutych dusz,

dróg cienistość, zieleń winnic, plon złocistych żniw...
W świat! w świat, orlę! Pełną piersią nowe pieśni [nuć
i natchniony, wyzwolony w stare gniazdo wróć!

Krzyż.

Na drogach świata stanął twardo a boleśnie,
ręce rozpostarł sztywno, błogosławiąc rzeszy,

co się palącym bolem, by zbawieniem cieszy,
i przechodzi przez szary żywot, jako we śnie...

O szubienico! Czemu smęcisz nasze drogi,
czemu skrywasz przed okiem jasne, szczęsne światy,
gdzie radości — nie męki kwitną wonne kwiaty,
gdzie puhar życia piją olimpijskie bogi...

Bezgrzeszne dłonie dziecka wieńczą twe ramiona,
niewinne serce pyta, co straszny krzyż znaczy?
Zanim dobro poznało, pozna złość siepaczy,

zna słup hańby, na którym wielka miłość kona,
zna tortur straszne gwoździe, korony ciernistе
i kocha mękę Twoją, nie Twe serce, Chryste!

Zofia Poznańska.

KAŚKA

Po szerokiej ulicy żwirowej, powyżłabianej mnóstwem głębokich wybojów, obramionej z obu boków niskimi dworkami, wlókł się powoli furgon rzeźnicki, naładowany kośćmi i mięsem.

Słońce, chociaż często przesłaniane kwefem chmur popielatych, paliło siarczystym upałem. Dusznego powietrza nie ochładzał nawet wietrzyk, nadlatujący niekiedy z południa i porywający z drogi kurz szary, aby gęstym, brudnym pyłem spadać na leżące na wozie, odarte ze skóry i porąbane cielska zarzniętych krów i baranów. Z ich fioletowej czerwieni wyzierały białe żebra, wyszczerzone, niby olbrzymie zęby, z paszczęk baśniowych smoków. Ładunek musiał być ciężki, bo rosła i krępa szkapa, w dwa dyszle furgonu wprzęgnięta, ile razy koła wozu zapadły do dołu, wybitego w szosie, wyciągała się oparta na tylnych muskularnych nogach i rwała naprzód, lecz znużona próżnym wysiłkiem stawała wyczerpana, dysząca i spocona.

Wtedy idący przy wozie człowiek walił ją niemiłosiernie zdjętym z bioder pasem rzemiennym. Razy sypały się gradem na grzbiet okrągły, a odgłos ich powtarzało łopotliwe echo, odbijające się głucho od drewnianych ścian domków ubogiego przedmieścia.

— Ścierwo! ścierwo! ścierwo! wołał rozjuszony. — Ja cię uśmiercę, Kaśka morowa, ja cię zabiję! Krew ze mnie wyssałaś, wypuściłaś z żył, jak skwaśniałe piwo z beczki... ano Kaśka! wio, dalej!

Mężczyzna był młody. Liczył najwyżej lat dwadzieścia kilka. Twarz miał smagłą, chudą, bladą. Krasiły się na niej, jakby żelazem gorącem wypalone, dwa chorobliwe rumieńce. Gdy zdejmował z głowy kapelusz słomiany, krucze, wełniste, krótko przy czaszce ostrzyżone włosy lśniły niby oliwą zmoczone. Od ich migotliwego połysku odbijała dziwnie trupio-zielonawa jasność gładkiego, jak kość słoniowa, czoła. Pod czołem brwi krzaczyste wyginały się kształtnym łukiem nad sinemi powiekami, zpod których strzelały ogniem ziejące żrenice, o wyrazie namiętnym, pełnym dzikiej złości. Wąs drobny rozścielał się wązkim paskiem czarnego mchu nad wargami ponsowemi. Pierś na wpół obnażona, wyzierająca zpod rozwartej, posoką bydlęcą splamionej koszli, pokryta była krótkim, zwichrzonym zarostem. W lewem uchu tkwił kolczyk, z prawie czarnym, kulistym, w zrudziałe srebro oprawnym granatem. Ubrany był w wytartą, nieokreślonego koloru aksamitną kurtkę i takież spodnie, fałdujące się suto nad

cholewami wysokich, grubych, do kolan sięgających butów. Cała jego postać była jakby obrazem przedwczesnego fizycznego zniszczenia. Ruchy niespodziane a gwałtowne świadczyły o rozstroju nerwowym. Na licach malował się zupełny upadek ducha, który człowieka w zwierzę zamienił.

Klacz nie mogła wozu z miejsca poruszyć. Smagana twardym rzemieniem, ryjącym na jej spoconej szerści ciemne pręgi, narowiła się i traciła cierpliwość. Stawała dęba, albo, wierzgając zadniemi nogami, próbowała kłaść się to na jednym, to na drugim dyszlu, aby je ciężarem swoim złamać, a złamawszy zerwać uprząż i lecieć, kędy oczy poniosą. Lecz drzewo, okute blachą, chociaż naciskane mocno, pęknąć nie chciało; szamotanie się zaś ofiary w lewo i prawo, zamiast wyciągnąć koła furgonowe z dołu, wbijało je coraz głębiej w wapienną, wytartą do piasku, żwirówkę. Człowiek z czarnym kolczykiem, ogarnięty oślepiającym go gniewem, owinął lejce na ramieniu i poskoczył naprzód. Chwycił lewą ręką za wędzidło, pokryte toczącą się z pyska zwierzęcia pianą — i szarpnął ku sobie. Równocześnie prawą ćwiknął klacz po oczach mosiężną klamrą od pasa. Ból musiał być straszny, bo Kaśka zarżała głośnym, rozpaczliwym jękiem. Potem gwałtownym ruchem nagle podniesionego łba wyrwawszy z dygocącej dłoni swego kata wędzidło, zatopiła zęby w pierś jego odkrytą.

Teraz on jęknął okropnie.

— Gwałtu! ratujcie ludzie! — zawołał.

Krzyk przeraźliwy doleciał uszu Michała Cwałochy, kołodzieja, stojącego za oknem z doniczkami fuksyj i pelargonij — w dworku, przed którym wóz rzeźnicki się zatrzymał. Rzeźki, suchy i siwy starzec wyszedł przed drzwi. Spostrzegłszy co się dzieje na gościńcu, z dzbankiem, pełnym wody, którą chciał kwiaty podlewać, podbiegł do furgonu.

— A!.. to ty, zatracony Dżirolamo! — rzekł powoli, z dziwnym spokojem i pogardą w głosie. — Kaśka cię napoczęła? Ma racją, ma racją! Gdyby nie ugryzła, włoski synu, zabiłbyś ją, psie, bez litości.

— Ooo! nie zje mnie ona! nie zje! — wybuchnął Girolamo — chociaż krwi mojej napiła się, kanalja. Przeżyję ją... i do mokrego rowu zakopię.

Przy ostatnich wyrazach drgnął całem ciałem jakby sam uczuł owiewający go wilgotny chłód mogiły.

— Czekaj! wprzódy cię z jej zębów wysunę, bo widzę, przyskrzyniła czorta dychtownie. Dajęć pomoc, nie przeto, żeś ladaco, a ino, żem dobry chrześcijanin, więc bliźniego w opresji ratować powinienem.

— To mówiąc, przeżegnał się i chlusnął w pysk wodą z dzbanka.

Zwierze, jakby ze snu zbudzone, rozwarło szczęki, wypuściło z nich czarnym włosem porosłą skórę, niby żółty pergamin zmiętą — i cofnęło się, ale wzrok miało utkwiony ciągle w prześladowcę, który w tył pociągnięty omotanymi około ramienia lejcami, stał znowu przed klaczą groźny, z krwawiącą się piersią, bledszy, niż przed chwilą.

Cwałocha wziął go za ramię i odwijał lejce, ściskające wątłe muskuły. Mówił przytem z chwilowymi przestankami, kaznodziejskim tonem, wyraźnie, dobitnie, jakby słów, które wygłaszał, oddawna nauczył się na pamięć.

— Ociec twój, Dżirolamo, był kamieniarzem... a chocia Włoch i byle jaki chrześcianin, pracować umiał. O, umiał! Niemało grosza zarobił przy budowie kościołów. Często wprawdzie nożem psował, co pięknie dłutem zasłużył u Najwyższego i Świętych pańskich, mimo to ujął mię sobie, więc dałem mu młodszą córkę za żonę, gdy się w nim rozmiłowała zapamiętale. Cieszyłem się nawet, pędraku, gdy na świat przyszedłeś, jako ów kot miauczący w noc marcową, bo myślałem, że z łona zacnej, polskiej niewiasty czart urodzić się nie może. Omyliłem się... i ciężko za to pokutuję. Szatańskimi figlami zapędziłeś matkę przedwcześnie do grobu. Po niej niebawem wyprawiłeś i ojca pod żółty piasek cmentarza... Jaki on tam był, to był, a zmarł z tęsknoty za połowicą, patrząc z bólem i rozpaczą na twe bezeceństwa. Kochał ją i ciebie mocno, szczerze, statecznie. W tobie jedynym ino wyschło źródło wszelkiej miłości. Ty dla nikogo nie masz serca, chociaż każdą kobietę tulisz do się. Zostałeś sam jeden na moim kożuchu, pchło jakaś, dobroczyńców gryząca! Hodowałem, karmiłem, uczyć kazałem... Ty zaś, co uczyniłeś? Uganiałeś się za dziewkami z miasta i z niemi przehulałeś dworek rodzicielski... i cztery morgi gruntu pszennego, i sad z dorodnemi śliwami, i książeczkę kasy oszczędności, na której trzydzieści stówek stojało. Tego wszystkiego jed-

nakoż mi nie żal, ino zhańbionej duszy twojej, na ogień wieczny skazanej, a sprośniejszej od dusz, co się w wieprzach kołaczą. Miałem nadzieję, że pójdziesz do wojska, gdzie może się poprawisz... Kiejby! Doktory. Za dychawicznego przy asenterunku cię uznali. Oj! dyszesz ty, ale żądza grzechu...

— Dziadku! — warknął Girolamo jakby z przyzwyczajenia, bo starca nie słuchał, tonąc w morzu czarnych myśli własnych.

— Spójrz na się w lusterko. Wyschłeś, zzieleniałeś... śmierć na czole twojem położyła kościste palce, wskazujące mogiłę... zbałamuciłeś rzeźniczkę Katarzynę, a teraz za parobka u niej służysz... I nienawidzisz ją; a przeklinać, ani bić, jak inne nie śmiesz... Nie śmiesz, bo kobieta zażywna, rumiana, zdrowa, jak oto ta klacz uparta, a pełna mocy... Trzyma cię ona nicponiu w garści niby miękką przędzę konopną, wykręcając w którą zechce stronę... Mąż jej z żalu obwiesił się w stajence. Samobójstwo jego nosisz na sumieniu... i swój i jej grzech... wasz grzech wspólny. Rachunkowa jest i chciwa, jako każda wychowana wśród krwi bydlęcej i świeżego mięsa. Srebra ani papierków ci nie daje, w dzień nad tobą przewodząc, bo ino do nocnych uciech włoskiego syna sobie wzięła, więc mścisz się na klaczy niewinnej chocia ona nie twoja, ino Boska, razem z wszelkiem żyjącem stworzeniem. Cudujesz, niby djabeł prawdziwy! Zamęczasz, zabijasz... Kaśką przezwałeś, z gniewu do tamtej, coś chucią sobie przywłaszczył, a w niej tkwiąca chuć sroższa, nad tobą rozciągnęła władzę i strawiła ci duszę, niszcząc w niej wszelkie dobro do szczętu. Przejrzałem wnętrze twojej istoty do dna, bom chrześcianin, jako się patrzy... zatem mówię, co mówić powinienem, nie raz pierwszy i nie drugi, mimo, że mnie nie słuchasz. Przez nienawiść do Katarzyny udręczasz biedne zwierze, sam gorszy od zwierzęcia. Czeka cię zato kara w życiu przyszłem...

Człowiek z czarnym kolczykiem w uchu przerwał mowę starca nagle:

— Dziadku!

— Czego chcesz?

— Unieście nieco wozu nad dołek, by szkapa z miejsca ruszyć mogła...

Starzec spojrzał mu w oczy i jakby przerażony błyskawicą w nich lśniącą, przeszedł za furgon a uniósłszy tylne koła silnemi jeszcze rękami, zawołał:

— Jedź!

— Jadę... Wio Kaśka! wio bestjo!.. Chciałaś mnie pożreć czarownico, niedoczekanie twoje! Ja ciebie w ścierwo zamienię... zabiję i pogrzebię!

Rozśmiał się dziko. Świsnął rzemieniem w powietrzu nad okrągłym grzbietem klaczy, która, cicha i powolna, postępowała teraz po drodze szybszym krokiem. Cwałocha patrzył za niemi czas jakiś.

— Psi syn! — szepnął.

Ale wnet, kładąc znak krzyża świętego na piersi, głowę smutnie pochylił.

— Boże odpuść! dziecko córki mojej...

W dali głos Girolama syczał złośliwie:

— Wio Kaśka!.. Nie ty mnie zjesz, nie. Ja ciebie uśmiercę, uśmiercę, uśmiercę!

Zygmunt Sarnecki.

Zmarnowana biblioteka.

Biblioteki miejskie należą u nas do rzeczy nieznanych. Nawet obie stolice nie posiadają takich instytucji, jakie istnieją np. w Wrocławiu, Hamburgu i wielu innych miastach europejskich. Cóż dopiero mówić o prowincji! A jednak jest w Galicji miasto, któreby mogło posiadać piękną bibliotekę miejską, gdyby... chciało.

W monografji miasta Stanisławowa, wydanej przez prof. A. Szarłowskiego w r. 1887, czytamy na str. 230 i 231:

„Oprócz bibliotek szkolnych posiada Stanisławów **bibliotekę miejską**, powstałą w r. 1872 z książek ofiarowanych miastu przez emigranta Wincentego Smagłowskiego. Podług katalogu, wydanego w r. 1875 pod tytułem: „Światowid“, składała się ona wówczas z 1037 dzieł o 1854 tomach. Znajdują się w niej dzieła w językach: łacińskim, polskim, francuskim i niemieckim, przeważnie treści historycznej i archeologicznej. Odtąd biblioteka miejska znacznie się powiększyła, albowiem w skład jej weszły: biblioteka znanego pisarza Jana Nepomucena Kamińskiego, ofiarowana przez p. Ignacego Kamińskiego, i księgozbiór Szerina, dar jego spadkobiercy, p. Wąsowicza. W chwili obecnej liczy ona 5700 dzieł w 8000 tomach. Ogół z biblioteki miejsiej nie korzysta wcale. Brak biblioteki publicznej w mieście, mającem liczną inteligencję, daje się coraz dotkliwiej uczuwać. Powiększanie biblioteki miejskiej nowymi nabytkami i udostępnienie jej dla czytającej publiczności przyczyniłoby się niemało do rozbudzenia zamiłowania w poważniejszych zajęciach umysłowych“.

Taki był stan rzeczy w pietnaście lat po obdarowaniu miasta cennym zbiorem. W trzynaście lat później, w r. 1900, śp. dr. Wład. Wisłocki w nr. 2 „Przewodnika bibliograficznego“ zaznaczył z oburzeniem, że według doniesienia do „N. Reformy“ wspomniana biblioteka, leży zupełnie bezużytecznie, dla nikogo nieprzystępna. Z księgozbioru, liczącego dzisiaj jeszcze wiele cennych dzieł, zginęło mnóstwo rzadkości bibliograficznych, resztę zjadł kurz i pył, pospołu z myszami i molami“. Przed paru wreszcie laty znany powieściopisarz Abgar-Sołtan, poszukując jakiegoś starego druku, z bolem serca i głębokiem oburzeniem przekonał się naocznie o wandalskiem gospodarstwie magistratu stanisławowskiego.

A dzisiaj? Dziś, po trzydziestu latach posiadania tak pięknego zawiązku wielkiej biblioteki miejskiej, stan jej jeszcze gorszy. Nieuporządkowana, nieumieszczona w jako tako stosownym lokalu, biblioteka — a raczej jej szczątki, traktowaną jest, jak śmiecie! Pożyczał a właściwie brał z niej kto i co chciał, bez kontroli.

Trudno doprawdy uwierzyć, że coś podobnego wydarzyć się mogło w mieście takim jak Stanisławów. Przecież to nie Pacanów — toć w Stanisławowie inteligencja ma głos przeważny w zarządzie miasta! Czy nie ma tam ludzi, którzyby rozumieli znaczenie biblioteki i jej wpływu na podniesienie kultury miasta. Nie pozostaje nic innego jak zaapelować do burmistrza. Niech on ratuje, co jeszcze uratować można. Wszak gminę Stanisławowską stać na ofiarowanie odpowiedniego lokalu, w którym biblioteka znaleść by mogła stosowne i dostępne dla ogółu pomieszczenie.

Funkcje bibliotekarza mógłby pełnić, za niewielkiem wynagrodzeniem np. który z profesorów gimnazjalnych, mając do pomocy manipulanta, wydającego książki. Skromna dotacja, wynosząca paręset guldenów rocznie, umożliwiłaby uzupełnianie biblioteki nowościami — i tą drogą Stanisławów mógłby się poszczycić wkrótce księgozbiorem miejskim, pierwszym w Galicji!

Gdyby jednak reprezentacja miasta nie chciała się i nadal zająć się tą sprawą, powinienby w nią wejrzeć Wydział krajowy. Ma on nie tylko prawo, lecz i obowiązek czuwania nad majątkiem gmin, a biblioteka to zarazem dobro materjalne i duchowe mieszkańców miasta. *St. Botwiński.*

Karol Notz.

SOŁOTWINA

Trzecia cerkiew, obecnie nieistniejąca, pod wezwaniem „Uspenije pr. Bohorodycy“, stała na gruntach dawniej przysiółka dziś wsi zwanej Zarzecze.

Cerkiew ta wznosi się z drugiej strony rzeki Bystrzycy, więc też trudność dostania się do niej w braku mostu spowodowała, iż dołączono ją do parafji w sąsiedniej wsi, Rakowcu. Było to w r. 1798.

O początkach tej cerkiewki nie ma żadnych wiadomości pewnych, najstarszy ślad, jaki znajdujemy, jest z r. 1707., od którego to roku jest dotychczas w aktach parafialnych metryka, bardzo dobrze zachowana, oprawiona w kartki, pisane starem cerkiewnem pismem. Od tegoż samego roku jest spis księży-parochów tej cerkwi, gdyż była czasem osobną czasem złączoną parafją z cerkwiami w mieście. Spis ten jest jednak już po roku 1850. sporządzony przez któregoś z księży, oparty na zapiskach metrykalnych.

Po postawieniu w r. 1828. nowego mostu na rzece, okazała się ta cerkiew zbyteczną i nastąpiło jej rozebranie. Ikonostas i niektóre obrazy zabrano do cerkwi Św. Mikołaja, niektóre darowano, zaś drzewo cerkiewne kupiła gromada w Kryczce vel „Krytce“. Słyszeliśmy opowiadanie o tem drzewie. W Sołotwinie opowiadają tamtejsi mieszkańcy, iż zrobiono z tego drzewa ściany i powałę karczmy w Kryczce, atoli w następnym roku piorun ją spalił — zaś w Kryczce jest również takie same podanie z tą różnicą, że użyte drzewo zostało na budowę domu gospodarskiego, który wkrótce przez burzę został zniszczony.

Mówiąc o aktach parafjalnych cerkwi „Uspenije“ nie możemy też pominąć i tamtych. Najstarszym aktem, dziś w parafji się znajdującym, jest zapisek chrztu po rusku z r. 1694.

Z ksiąg zasługuje na uwagę wielkiego formatu pisany Irmologion, pochodzący ze Skitu w Maniawie; w bibliotece, zwraca uwagę ciekawa historja: „cerkwy wostocznoj i zapadnoj“ od r. 600 do 1200. (C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. Maurycy Maeterlinck. *Skarb pokornych.* Księgarnia Polska. 1903. — Jest to bardzo staranny przekład — może najpiękniejszego dzieła Maeterlincka, zbiór przedziwnych, tajemniczych a kojących, szkiców filozoficznych, które budzą u nas tysiące uczuć i myśli. Język jak spokojna i przejrzysta rzeka; słowa myśliciela, pełnego ciszy i ukojenia, który przestąpił granice naszych zwykłych pojęć i rozumowań — i o jeden krok dalej poszedł w nieskończoność. Z tej nieskończoności przynosi on nam wieści dziwne i — jak cichy gaj arkadyjski — świetlane i dobre. Oceany niewidzialne odkrywa w duszy ludzkiej: wyraża tajemniczą mowę milczenia, które więcej znaków bożych zawiera w sobie, niż słowo; maluje obraz przebudzenia się duszy w człowieku, nie świadomości czy wiedzy, lecz duszy w najidealniejszem znaczeniu; wystawia nam tajemnicę śmierci w obrazie dzieci, które umierają przedwcześnie i które mają o tem jakby nieświadome ostrzeżenie; maluje wzniosłe zasady moralności mistycznej, która zgłębiła prawdziwą istotę Ewangelji; odkrywa tajemnicę miłości — pokrewieństwo dusz, które na różnych oceanach bytują, a które zdala rozmawiają ze sobą; mówi o tragizmie życia codziennego, o tych Eschylosach i Szekspirach, co żyją w głębi każdego serca naszego, bez groźnego wycia legjonów rycerskich, lecz w zamyśleniu głębokiem ducha; mówi o gwiaździe przeznaczeń, gwiaździe, którą my tworzymy sami ze swojej własnej istoty, a która potem prowadzi nas do wrót niebios lub spycha w dół; mowi o tym fluidzie utajonym, który jest w każdym człowieku, a który czasem otacza go jakąś atmosferą szczególną, promieniującą zeń na innych ludzi (dobroć niewidzialna); życiu zewnętrznemu, pełnemu wrzawy i bezużytecznych trosk i pożądań przeciwstawia wewnętrzne, życie głębokie; również wywołuje w nas nasze piękno wewnętrzne, piękno żyjące w nas a nieznane nam najczęściej, a to piękno jest w miłości.

W Skarbie Pokornych Maeterlinck uświadomił nam tysiące tajemniczych drgnień naszej duszy; podniósł i powiększył nas, pogłębił i w piękność nas przyodział. Pokazał nam kawałek nieskończoności, któregośmy nie znali, każdą duszę uszanował; nikomu nie powiedział: Raka!

Nie tylko w sobie, ale u innych myślicieli szukał tych głębin i przepaści. Są w Skarbie trzy szkice bardzo piękne: o mnichu flamandzkim z XIII. w., Ruysbrocku przedziwnym (który napisał Gody duchowe); o Emersonie (o którym niedawno pisaliśmy na tem miejscu); o Novalisie — poecie niemieckim z r. 1840, którego Młode Niemcy odkryły tak, jak Młoda Polska odkryła Słowackiego. — Pisma tych trzech pisarzy Maeterlinck przełożył i opatrzył studjami. „Wybrałem — powiada Maeterlinck — trzech ludzi, których drogi prowadzą nas na trzy różne szczyty. Widziałem na horyzoncie dzieł Ruysbrocka jaśnienie najbłękitniejszych wyżyn duszy; podczas gdy u Emersona drobniejsze wzgórza ludzkiego serca zaokrąglają się w linjach nieregularnych. U Novalisa znajdziemy się na ostrych i często niebezpiecznych wyżynach umysłu“. U Maeterlincka — w jego Skarbie pokornych — znajdujemy jakby połączenie tych trzech wyżyn: są tam dalekie błękity duszy, i bielejące szczyty uczuć i zawrotne wyżyny myśli.

Książka ta jego jest prawdziwym skarbem. Podnosi oczyszcza i uszlachetnia. Oświeca i uświadamia.

Przekład zawdzięczamy pióru p. W. Daleckiej.

A. L.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego I. 8.